

Noc świętojańska i karnawał to czas, w którym hrabianka i lokaj mogą. Nie nie, proszę państwa, umówmy się – nikt tu nie mówi o ślubie. Ale jeśli uda się im odwrócić świat na opak, a potem nie zechcą ciągnąć gry w czasie zwykłym... no ale jeśli zechcą?

„Panna Julie” Augusta Strindberga w reżyserii Anny Skuratowicz wystawiona w Teatrze Polskim w Warszawie to szczyt kanoniczności, bycia zmurszałym klasykiem, niewzruszonym monumentem, XIX-wieczną skamieliną, tekstem całkowicie martwym, dokumentem istnienia na antypodach kulturalnej Europy genialnego dramaturga i nieprawdopodobnego mizogina, który zrównywał kobiety z małpami.

A jednak Anna Skuratowicz upiera się, że jest to tekst wspaniały, żywy, który można inspirująco opracować, tak by wybrzmiał dziś przez usta młodych, wrażliwych aktorów.

Historia rozgrywa się między trojgiem bohaterów, jednak ta trzecia, Krystyna (Katarzyna Lis) od zawsze była traktowana w inscenizacjach po macoszemu. Julie jest hrabianką, Jean jej lokajem, a Krystyna kucharką, która pracuje solidnie na chleb swój powszedni i mając mocne oparcie w swojej prostej, chłopskiej moralności, liczy, że Jean pewnego dnia się z nią ożeni. To z nim wiąże swoje nadzieje na przyszłe szczęście. Nie szczęście państwa, co to, to nie, ale takie zwykłe, małe, ludzkie – będące codzienną osłodą ciężkiej pracy.

Wszystko, co rozgrywa się między Julie a Jeanem, daje się sprowadzić do prostego schematu, który znany jest literaturze od zarania wieków, czy to mowa o faustowskiej Małgorzacie, czy innej nieszczęśnicy, która zbyt łatwo (bez ożenku) oddała cnotę. Dziś nazywamy ten schemat szkodliwym uwzniośnianiem dziewictwa i rozkoszujemy się prozą Sally Rooney, w której bohater jednej z powieści zaspokaja swe pragnienie ze starszą od siebie kobietą już pierwszej nocy, snując wzruszającą myśl, że pożądanie nadal jest obecne, choć zarazem może on zasnąć w ciepłym otuleniu spełnienia zmysłów. Daje tym samym początek miłości.

Jesteśmy jednak jeszcze w wieku XIX, i klucz pożądania – igrania z ogniem w międzyklasowej walce – pokątnego spełnienia – nienawiści i scysji, czyjegoś bólu i straty oraz postcoitalnego smutku jest tu przedstawiony jak na dłoni. Julie (Irmina Liszkowska), świadoma swojej przewagi nad Jeanem (Jakub Kordas) oddaje się mu, by potem zostać przez niego upodlona. Wszelkie naddatki, dopowiedzenia do tej historii nie są istotne – to zwykła wariacja odwiecznej baśni. Jest jeszcze jeden mały lufcik, małe wyjście, by z całej tej sytuacji wyjść z honorem – noc ta była nocą świętojańską, a zatem tym specjalnym czasem w roku, gdzie wszystko jest na opak. Jest to moment, kairos, podczas gdy czas powszedni, chronos, toczy się i dłuży przed i po. To czas, w którym chłop bije pana dla zabawy, ku uciechu gawiedzi i dworu – gdybyż jednak spróbował tego poza kairos, mógłby przypłacić to nawet życiem.

Dwa zabiegi reżyserskie zasługują tu na szczególną uwagę. Tekst został przepuszczony przez aktorów bez żadnych ingerencji, w pełnej zgodności z tłumaczeniem Mariusza Kalinowskiego. Jest to zabieg znany chociażby z „Ewangelii według świętego Mateusza” Pasoliniego, gdzie cały dramatyzm Słowa został uwypuklony dzięki pozostawieniu go w oryginalnej, niezmienionej

wersji. Wszelkie dialogi, uwspółcześnienia, „ułatwienia” byłyby niesmaczne i niepotrzebne – i do takiego wniosku dochodzi Skuratowicz.

Drugim elementem jest przyjrzenie się z uważnością Krystynie. Ta prosta chłopka reprezentuje status quo, niezmienny porządek świata, gdzie chłopci pracują na zasługi przez mozolną, repetytywną pracę i chodzą odpowiednio ubrani na niedzielne nabożeństwo, a państwo są (w ich oczach) kimś lepszym, kimś, komu się usługuje, kogo się nie rozumie, nie przenika, ale też nie chce i nie próbuje tego robić. Są to ludzie lepsi moralnie – a zatem kiedy Julie traci swą cnotę z Jeanem, co jest największym nieszczęściem kobiety – tym bardziej, że robi to z własnym lokajem – Krystyna przeżywa wstrząs na poziomie egzystencjalnym, brakuje jej odtąd bowiem stałych punktów odniesienia.

Bardzo trudno jest zachęcić młode i najmłodsze pokolenie do obcowania z klasyką, ponieważ jest ona uważana za zbyt trudną, niedosiężną, bądź też z drugiej strony zramociałą i niewiele mówiącą o dzisiejszym świecie. Jednakże interpretacja „panny Julie” nakazuje zapytać, czy za dziewczyną nie kryje się współczesna Julka, igrająca swym dwudziestoletnim erotyzmem, przez nią samym do końca nie okiełznanym i nie umiejącym przewidzieć konsekwencji w bardzo jasno określonych okolicznościach. Czy Jean nie może być jej chłopakiem, powiedzmy Oskarem, skrytym nastolatkiem ukrywającym złość na niezaradnych lub będących stale pod wpływem alkoholu rodziców? Dość łatwo wyobrazić sobie, jak imponuje mu bogatsza koleżanka i chciałby sobie coś udowodnić, zdobywając dziewczynę nie tyle ładną (w tym wieku o to nietrudno), co po prostu z dowolnych powodów nieosiągalną? Omawiana współpraca reżysersko – aktorska pokazuje, że klasyka jest żywą, jeśli spróbuje się znaleźć choćby jeden czy dwa odświeżające zabiegi. To nie muszą być odkrycia epokowe, ale jakież zdziwienie, kiedy okazuje się, że dramat rusza wtedy jak naoliwiony i odkurzony mechanizm, by wyśpiewać nam jeszcze niejedną historię.